

W obronie... grafomanów

Ażeby coś publikować, trzeba wierzyć, że moje słowo, moja nuta, farba, którą położę na płótnie, są ważne. Są jedyne.

Zygmunt Mycielski, *Niby dziennik*

Na początku 2003 roku odbyło się zebranie Dolnośląskiego Oddziału ZLP. Było prawie wyłącznie poświęcone pomysłowi zorganizowania w Polanicy Zdroju festiwalu poezji (przerodził się w rzeczywistość). Jedną z obecnych osób, gdy zaczęto zastanawiać się, kogo nań zaprosić, stwierdziła z naciskiem, że należy dopilnować, aby wśród zaproszonych nie znaleźli się grafomanie. Byłem uczestnikiem tego spotkania i doskonale pamiętam tę wypowiedź.

Od wspomnianego spotkania nie minęły nawet trzy tygodnie, jak we wrocławskim Klubie Muzyki i Literatury odbyło się kolejne „Czytanie wierszy”. Jedną z osób prezentujących swą twórczość, była owa osoba wrażliwa na obecność grafomanów. W trakcie jej recytacji, siedzący obok kolega (malarz, poeta i eseista) powiedział cicho do mnie:

– Toż to czystej wody grafomania.

Nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby ów poeta usłyszał tę opinię, byłby zarówno zaskoczony, jak i oburzony. Oczywiście uważałby, że nie zasłużył na nią (każdy na jego miejscu byłby tego zdania). A osobę, która ją wyraziła uznałby za niemającą pojęcia o tym, na temat czego zabrała głos.

Dlaczego przypominałem to – zapewniam, że autentyczne – zdarzenie sprzed wielu lat? A to po to, abym tym, którzy innym przypinają łatkę z napisem „grafoman”, dać do myślenia. Tym bardziej, że owo „łatkowanie” ma miejsce często. Oczywiście czyniący to, są przekonani, że, kto jak kto, ale oni nie są – jakżeby inaczej – grafomanami. Z tym, że jeśli ów epitet nie zostanie skierowany pod adresem kogoś konkretnego, ale zostanie już wypowiedziany, to, prędzej czy później, nieodwołalnie trafi na czyjeś plecy. Jednak sam wypowiadający go, jak pokazała wspomniana opowieść, nigdy nie powinien czuć się bezpieczny. Bo może...

Grafomanem jest „człowiek opanowany manią pisania utworów literackich, a nie mający zdolności w tym kierunku”. Taką definicję można znaleźć np. w *Słowniku wyrazów obcych* wydanym przez PWN, Warszawa 1980.

Z tą definicją nie do końca zgadzał się Stefan Kisielewski, który w *Dziennikach* odnotował: [...] *grafoman to niekoniecznie jest ten, co źle pisze, ale przede wszystkim ten, co za wszelką cenę musi drukować.*

Oficjalna, słownikowa treść terminu „grafoman” nie zmienia się od dziesięcioleci; a najpewniej i dłużej. Pewnie nie zmienia się też częstotliwość (duża) jego używania. Rzecz

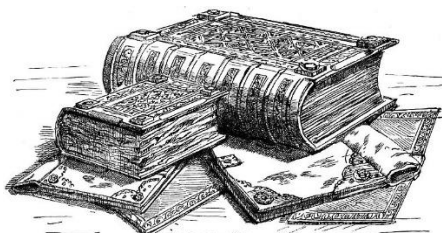
jednak w tym, że nie zgadzam się ze wspomnianym objaśnieniem tego hasła (tytuł niniejszego szkicu ma to sugerować). Korzystając z okazji proponuję więc wersję następującą: *Grafoman – człowiek opanowany manią pisania utworów literackich, ale nie zadający sobie jakiegokolwiek trudu, aby je opublikować; mało tego, nie odczuwający potrzeby publikowania. Innymi słowy, osoba poprzestająca na samym napisaniu. I tym się zadowolająca.*

Tę zaproponowaną przeze mnie definicję uzupełnia pogląd Andrzeja Kijowskiego, który „jednego był pewien – zauważyła Agnieszka Tomasiak w (*Nie*)napisanym *arcydziele* – tego, że pisarz jest dopiero wtedy pisarzem, gdy ma swoich odbiorców. Powieść bez czytelnika, felieton bez stałych odbiorców, wiersz w szufladzie – nie istnieją.

Analogicznie, utwór, który został napisany, ale nie został udostępniony, nie współtworzy literatury. Ale współtworzy ją, choćby przez ślad w czyjejś pamięci, tekst, który został opublikowany, i miał swych czytelników / słuchaczy, lecz po jakimś czasie przestały istnieć – nie ważne z jakich powodów – wszystkie jego egzemplarze i papierowe, i elektroniczne.

Moim zdaniem, a prezentowałem je nie raz, nie dwa, każdy piszący wiersze jest poetą; każda pisząca utwory prozatorskie jest pisarką. W obu tych przypadkach chodzi o osoby, które tworzą, a następnie swymi utworami, na różne sposoby – że tak powiem – dzielą się z innymi. Ocena wartości tego, co powstało pod ich piórem, według mnie, jest odrębną sprawą. Ale zgodnie z dominującym poglądem, to właśnie owa ocena decyduje o tym, czy zasługuje się na miano np. poety (takowej weryfikacji dokonują redaktorzy czasopism, wydawnictw, stowarzyszenia skupiające ludzi pióra, niekiedy czytelnicy). Tymczasem, proszę zauważyć – każdy kto maluje obrazy nazywany jest malarzem. Choć często zdarza się, że zostaje obdarzony mianem malarza-prymitywisty, malarza-ludowego, malarza nieprofesjonalnego itp. Zawsze jednak, i nade wszystko, jest on malarzem. Nikt mu nie odbiera – bo i jakim prawem? – tego miana. Nade wszystko liczy się bowiem to, że tworzy, w tym wypadku prace plastyczne. Nikt więc nie nazywa go malarskim maniakiem czy malarzem-maniakiem. Mało tego, w polszczyźnie (nie wiem, jak jest w innych językach), a konkretnie w sferze sztuk plastycznych, nie funkcjonuje termin chromaman (z greckiego: *chróma* – malować i *mania* – szaleństwo) bądź podobny w swej treści, będący przy tym odpowiednikiem grafomana obowiązującego w świecie literackiego słowa pisanego.

Dariusz Pawlicki



Obrzydliwa strona literatury

Jak pisał Józef Mackiewicz tylko prawda jest ciekawa. A jaka jest prawda o polskim środowisku literackim? Otóż jest to prawda dalece złożona, wielowątkowa, wieloznaczna i skomplikowana, lustrzane odbicie zagmatwania czasów i ambicji z ich ducha powstałych. Nakładają się na to atawizmy i uwarunkowania stałe, rzekłbym odwieczne oraz bardzo zażyłe relacje międzyludzkie nacechowane manią wielkości jak przystało na zbiorowisko artystów i indywidualiów wszelakich. Wszystko to razem mogłoby być inspirujące, ciekawe i jakby zwyczajne, gdyby nie pewni nader bezczelnie przedstawiciele gatunku, którzy jak taran niszczą wszystko (i wszystkich) którzy nie daj Bóg staną im na drodze do kariery, sławy i właściwych im zaszczytów. (Oczywiście wedle ich, bezkrytycznego punktu widzenia).

Są to ludzie, którzy nie cofają się przed niczym. Zdolni sami wnioskować o nagrody, medale, odznaczenia, wyróżnienia, zdolni w tym celu, podkopywać, przekupywać, podszywać się i robić wszystko, aby dostać to, czego w danym momencie chcieli. Pał sześc twórczość, jej meritum, jej odbiór i percepcję, pał sześc pewnego rodzaju nieuchronne obrzydzenie społecznie ludzi, którzy choćby przez przypadek na to patrzą, mieli okazję w tym uczestniczyć, albo dotknęło ich to jako osobiste. Niesmak jest prywatny, kulaarowy i zamknięty pod dywan. Ta obrzydliwość jest nieodzownym elementem środowisk twórczych, jak wmaiwano mi wielokrotnie, ale ja jak zwykle odważę się o tym napisać, to napiętnować, spojrzeć na to z właściwą pogardą, gdyż tylko pogarda jest w stanie właściwie odpowiedzieć na tego typu praktyki.

Zatrważająca jest w środowisku literackim skala tego zjawiska. Ja wyżej opisałem jedynie najjaskrawsze przypadki, ale jest cały sztab modyfikujących tę ohydę do drobniejszych wydarzeń, w których zawiść z podłożeniem nogi to pewnego rodzaju norma. Równie obrzydliwa.

Jak z tym walczyć? Możemy jedynie w akcie niezgody i oburzenia o tym, tak jak tu i teraz, po prostu napisać. Bez faktów, nazwisk i konkretnych przypadków. Ich bezwstyd i tak został już bardzo dawno i skutecznie wyhodowany i ma się świetnie. Nie przejmują się. Biogramy puchną, wymierne korzyści się u stóp ścieł, a połowiczni grafomanie są podbudowani kolejnym sukcesem, za cenę braku sumienia. Za cenę szyderczych spojrzeń i ciszy w eterze.

Owa cisza jest największym zabójstwem literatury w jej środowiskowej odsłonie. Zapytam co przeważa. Coraz lepsza twórczość, coraz ciekawsze książki, ciekawsi autorzy, czy coraz więcej szumowin wpuszczonych na literackie salony, których wątpliwy autorament psuje i tak już nadzarszarnięty upadkiem czytelnictwa wizerunek pisarza, literata – słowem prozaika czy poety.